

Oddać siebie do

Rozmowa z misjon

Bronisław Hury: Apostołowie byli misjonarzami. Paweł z Tarsu był misjonarzem Europy. Co znaczy być chrześcijańskim misjonarzem dziś, w XXI wieku?

Annie Kramer: Pod pewnymi względami jest to dokładnie to samo, co dwa tysiące lat temu. Świat się zmienił, ale wciąż istnieje potrzeba głoszenia zbawienia w Jezusie Chrystusie.

Vera Joann: Wówczas misjonarze spotykali się z prześladowaniami i dziś w wielu regionach świata jest podobnie, szczególnie tam, gdzie my pracujemy. To nie są tereny otwarte dla Ewangelii.

Jesteście misjonarkami? Jaką organizację misyjną reprezentujecie?

A.K.: Tak, jesteśmy misjonarkami. My i nasze rodziny służymy na polach misyjnych w dalekiej Azji. Zostaliśmy tam posłani przez nasze Kościoły w Holandii. Reprezentujemy organizację misyjną Interserve. Została ona założona w Anglii w 1852 roku przez dwie kobiety, które zauważyły, że kobiety w Azji nie mają dostępu do Ewangelii. W tamtym czasie tylko mężczyźni byli wysyłani tam jako misjonarze. Lekarz, który powrócił z Indii, zachęcił je, by się modliły o możliwość wysłania na misję także kobiet. Chrześcijanie w Anglii usłyszeli także, że w okolicy Kalkuty nawróciło się do Chrystusa kilka osób bez udziału misjonarzy, wyłącznie poprzez czytanie Biblii. W tamtym czasie w Indiach dziewcząt nie posyłano do szkoły i oczywiście kobiety nie umiały czytać. Powiedzieli więc sobie: Jeśli nauczymy kobiety czytać, damy im Biblię i będziemy się o nie modlić to Bóg pobłogosławi Swoje Słowo i przyprowadzi te osoby do zbawiającej wiary. Na początek wysłali dwie nauczycielki. One rozpoczęły od przygotowania młodych dziewcząt do zawodu nauczycielskiego i w ten sposób

umiejętność czytania i pisanie wśród kobiet w Indiach zaczęła się rozszerzać. W 1870 roku podjęto wysiłek, aby wykształcić kilka lekarek i wysłać je do Indii, gdyż kobiety były tam pozbawione opieki medycznej.

Przez następne 80 lat Interserve koncentrowało się na przygotowywaniu i wysyłaniu misjonek do Indii. Celem było przygotowanie kobiet do pracy nauczycielskiej i medycznej oraz nawiązywanie przyjaznych relacji, aby w ten sposób przekazać Ewangelię. Dopiero w 1952 wysłano na misję pierwszą rodzinę – męża i żonę jako misjonarzy. Praca misyjna koncentrowała się na Indiach, Pakistanie i Bangladeszu. Potem na współpracę z fachowcami otworzył się Nepal, Afganistan i inne islamskie kraje tego regionu. Interserve wysyła na misję fachowców: nauczycieli, inżynierów, lekarzy, którzy pracują tam w swoim zawodzie i – będąc chrześcijanami – dzielą się również swoją wiarą. Na początku byli to misjonarze tylko z Anglii, obecnie z dwudziestu krajów, nie tylko europejskich, ale również z USA, Brazylii, Kanady, Nowej Zelandii, Korei Południowej, Malezji, Hongkongu, Indii. W Indiach są nie tylko placówki misyjne, ale znajduje się tam także biuro, wysyłające misjonarzy do innych krajów.

Interserve jest teraz międzynarodową i międzywyznaniową organizacją misyjną, współpracującą z Kościołami ewangelicznymi na terenie takich krajów jak: Indie, Bangladesz, Pakistan, Nepal, Bhutan, Afganistan, Iran (skąd ostatnio misjonarze zostali wyrzuceni), gdzie dominuje hinduizm, buddyzm, islam. Ostatnio koncentrujemy się także na Bliskim Wschodzie i w rejonie Zatoki Perskiej oraz w Afryce Północnej. Koncentrujemy się nie tylko na fachowej pomocy miejscowym ludziom i chrześcijańskim świadectwie życia, ale także wspomagamy lokalne chrześcijańskie Kościoły.

Jak można pogodzić służbę misyjną w odległym kraju z życiem rodzinnym?

V.J.: Kiedy w 2001 roku pierwszy raz wyjeżdżaliśmy na misję, synek miał pół roku, a córki trzy i cztery lata. Udaliśmy się do kraju w Centralnej Azji. Przyjeżdżając tam nie znaliśmy lokalnego języka, uczyliśmy się go na miejscu, rozmawiając z ludźmi. Mój mąż jest specjalistą w dziedzinie szeroko rozumianej gospodarki rolnej. Odwiedzał więc różne gospodarstwa i przedsiębiorstwa związane z rolnictwem i doradzał, co można poprawić, zmienić, sprawić by było efektywniejsze. Przez jakiś



www.interserve.org

dyspozycji Bogu

arkami z Interserve

czas byliśmy w mieście, ale za drugim razem w 2005 roku zamieszkaliśmy w małej wiosce, skąd wielu wyemigrowało do Rosji w poszukiwaniu pracy. Staraliśmy się pomagać ludziom w codziennych potrzebach. Warunki życia były tam wręcz prymitywne. Brak podstawowych urządzeń i udogodnień cywilizacyjnych, do jakich jesteśmy przyzwyczajeni. Nie było bieżącej wody, nie było kanalizacji. Ale to nie stanowiło problemu. Brak pracy wszędzie stwarza problemy, ale w tamtej kulturze mężczyźni odczuwają to szczególnie boleśnie. Mężczyzna ma być tym, który utrzymuje rodzinę, a gdy nie jest w stanie zapewnić środków do życia, czuje się bezwartościowy i często zaczyna pić. Następuje rozprężenie, ludzie nie widzą przyszłości, bywa, że dzieci przestają chodzić do szkoły.

Przeciętny dzień wygląda tam pod wieloma względami jak wszędzie indziej: wstajemy rano, myjemy się, jemy śniadanie, wysyłamy dzieci do szkoły. Tylko, że te codzienne praktyczne rzeczy zabierają więcej czasu. Dużą różnicę czyni to, że stale masz wokół siebie jakichś ludzi. Tu mogę zamknąć drzwi i nikt nie wejdzie bez pukania. A tam mogłam zamknąć drzwi, ale dzieci sąsiadów zaglądały przez okno. Niezwykle trudno jest tam zachować prywatność. To w pewnym sensie było plusem, bo ludzie obserwowali nasze życie niemal przez całą dobę. Wiedzieli, kiedy kładziemy się spać

i kiedy wstajemy. Wiedzieli nawet, co mamy w szafkach. Zadawali mnóstwo pytań. Mogliśmy więc dzielić się naszym życiem. Myślę, że właśnie to stanowi największą różnicę pomiędzy Zachodem a tamtymi krajami. Na Zachodzie ludzie są tacy uprzejmi i zdystansowani. Zapowiadają swoją wizytę, nie o wszystko zapytają i nie wszystko powiedzą. Tam sąsiadka widzi twoją sukienkę i mówi, że jej potrzebuje, bo ma wesele w rodzinie. Tam nie możesz nie dzielić się swoim życiem i to jest niezwykle ważne w misyjnej służbie.

A.K.: W Nepalu, gdzie byliśmy, różne organizacje misyjne miały pozwolenie władz na pracę w danym miejscu, ale nie wolno im było ewangelizować. Mogliśmy więc tylko wykonywać swoją pracę: być nauczycielem, lekarzem czy inżynierem. Ale ludzie pytali, dlaczego tu jesteście, dlaczego nie chodzimy do świątyni buddyjskiej czy hinduskiej, jak się modlimy. Wtedy mogliśmy odpowiadać. Tak więc głosiliśmy Chrystusa naszym życiem, rozmowami, relacjami, pomimo tej niechętniej presji otoczenia.

To, co mówicie o warunkach życia, raczej nie brzmi zachęcająco. Dziś ludzie poszukują wygody. Czy może być coś pociągającego w misyjnej służbie?

A.K.: W Nepalu żyje 26 mln ludzi. Wtedy w całym kraju było 1500 chrześcijan, dziś jest około jednego miliona wierzących. Mieć w tym swój udział to wielka rzecz. Być częścią Bożej misji, po prostu wiedzieć, że to jest miejsce, gdzie Bóg chce mnie mieć. Uczestniczyć w błogosławieństwie wzrastającego Kościoła – to jest niesamowite.

V.J.: To jest bardzo, bardzo ekscytujące. Swoje doświadczenia na polu misyjnym porównuję do przeżyć rodziców, kiedy ich dziecko stawia pierwsze kroki. Jeśli potrafimy zaszczerpić w sercach ludzi choć trochę nadziei i zobaczymy ich wiarę, to nie ma większej i lepszej nagrody za cały ten trud. Gdy widzisz zmiany w ludziach, radość jest tak wielka, że trudno ją wyrazić czy opisać. Gdy człowiek przestaje pić, zmienia się jego stosunek do dzieci, przychodzi do poznania Chrystusa – to jest coś niesamowitego. Dla tych ludzi jest oczywiste, że to nie wynik ludzkich zabiegów, lecz działanie Bożej mocy. Tylko Bóg może



Piknik – spotkanie grupy domowej w niedzielne przedpołudnie

dokonać tych zmian. Bóg staje się realny w ich życiu. I to staje się źródłem ich radości a my, będąc tego świadkami, dzielimy tę radość.

Największe zagrożenia?

V.J.: W moim przypadku największe zagrożenie nie było fizyczne lecz duchowe, związane ze wzmożoną aktywnością. Potrzeby wokół są tak ogromne, że łatwo jest się zaangażować w wiele rzeczy naraz. Można pracować od rana do wieczora, wypełnić cały czas jakimiś zajęciami i nie mieć czasu dla Boga. A jeżeli nie pielęgnujemy bliskiej relacji z Bogiem, to nie mamy sił, aby służyć. Jest to więc raczej zagrożenie wewnętrzne niż fizyczne zewnętrzne.

Chcę wspomnieć o presji duchowych mocy przeciwnych Bogu. Czasem objawia się to ogólnym zniechęceniem, czasem pasmem trudności, jak wlokąca się, nie dająca się zdiagnozować dziwna choroba w rodzinie. Bywało, że działy się dziwne, niepokojące rzeczy i wówczas modliliśmy się, chroniąc się pod przykryciem krwi Jezusa. I muszę podkreślić, że można było wyjść z tych zmagania tylko przez modlitwę.

A.K.: Jako ludzie Zachodu jesteśmy skoncentrowani na działaniu. Zawsze chcemy coś zrobić, pracujemy, kompletujemy, chcemy wykonać jakieś zadanie. A w Nepalu ludzie chcą, żeby po prostu z nimi żyć, mieszkać, spędzać czas. Trzeba się nauczyć po prostu z nimi być. A czasem jest ciężko tylko być i nic nie robić. Trzeba uchwycić Bożą wizję, trzeba być blisko Boga, aby wiedzieć, co On chce zrobić w tym kraju. To jest prawdziwe osobiste wyzwanie dla misjonarza.

Kto może zostać misjonarzem?

A.K.: Interserve ma około 800 misjonarzy. To ludzie dobrze mówiący po angielsku, profesjonalści z co najmniej kilkuletnim doświadczeniem w swoim zawodzie: lekarze, inżynierowie, nauczyciele itp. Ich wykształcenie jest co najmniej na poziomie licencjatu i wyżej.

Kandydaci odbywają odpowiednie szkolenie z zakresu misji. Nawet jeśli ktoś ma za sobą szkołę biblijną, oczekujemy, że przejdzie kurs w zakresie służby misyjnej. Oferujemy pracę stosowną do zawodu. Przykładowo pracę piekarza, ale na stanowisku zarządzającego wypiekami pieczywa. Problemem są wizy. Wizę otrzyma osoba o umiejętnościach, na które jest zapotrzebowanie w danym kraju. Proste, niewykwalifikowane prace wykonują miejscowi. Przykładowo, w wielu przypadkach misjonarzami zostają biznesmeni, którzy zakładają w danym kraju jakąś działalność gospodarczą. Nauczanie języka angielskiego także jest dobrze przyjmowane.

Oferujemy wyjazdy długoterminowe na trzy, cztery lata i dłużej. Ale mamy także programy krótkoterminowe, trwające od dwóch miesięcy do roku. Chodzi o to,



Nepal, Kathmandu, 1978 r. – ten zbór liczy teraz ponad 5000 członków

by nabrać doświadczenia i przekonać się co do Bożego powołania na dłuższy okres. Przykładowo, gdyby jakiś lekarz w Polsce chciał wyjechać na dwa, trzy miesiące do Pakistanu, to jest taka możliwość. Niektórzy na takie krótkie wyjazdy udają się w ramach praktyk – te programy nazywamy „Na szlaku”. Wtedy nie są konieczne jakieś szczególne przygotowania w zakresie misji, ale angielski zawsze jest potrzebny.

W każdym przypadku wysyłającym jest rodzimy zbór?

A.K.: Tak. Interserve wspiera Kościoły w służbie misyjnej, pomaga wysłać właściwych ludzi na pole misyjne. Tam, na miejscu, każdemu pomagamy znaleźć pracę, mieszkanie. Pomagamy w nauce języka, otaczamy opieką duszpasterską i pomagamy w misyjnej służbie. Ale to rodzimy zbór wysyła misjonarza.

Misja to oferta dla chrześcijan, lubiących życie w ekstremalnych warunkach?

A.K.: My wszyscy jesteśmy bardzo normalni. Czasem ludzie myślą, że jako misjonarz składasz siebie w ofierze, rezygnując z życia. W rzeczywistości otrzymujesz dziesięć razy więcej niż z siebie dajesz. Być w misji Boga, widzieć co Bóg robi, jest czymś wspaniałym.

Gdzie dziś są największe potrzeby?

A.K.: „Naśladując Chrystusa wśród mieszkańców Azji i świata arabskiego” – tak brzmi motto Interserve. To cel ogólny, ale mamy także pewne preferencje. W niektórych krajach potrzeby są szczególne. Nie mogę wymienić ich z nazwy. To kraje bardzo zamknięte dla Ewangelii, ale mające rozliczne palące potrzeby. W pewnym dużym kraju misjonarze są już od ponad stu lat, ale wciąż bardzo ograniczone są tam możliwości dla Ewangelii. Szukamy oddanych Bogu ludzi, którzy chcieliby udać się tam jako fachowcy. ►

Misja w Nepalu

- najlepsza część naszego życia

Zacząłem się od spotkania z ważnym dla nas człowiekiem, znanym jako brat Andrzej, który przemyślał Biblię do Europy Wschodniej. Na pewnym obozie misyjnym mówił on o tym, że w pracy misyjnej trzeba myśleć strategicznie. Że jeśli do jakiegoś kraju nie mają wstępu pastory czy nauczyciele Słowa Bożego, bo jest zakaz władz, to trzeba pomyśleć, w jaki inny sposób można tam dotrzeć z Ewangelią. Te słowa mocno przemówiły do mojego męża – inżyniera budownictwa lądowo-wodnego. Modlił się więc, by Bóg posłał go do jakiegoś zamkniętego dla misji kraju, gdzie mógłby pracować w swoim zawodzie.

Bardzo trudno było znaleźć organizację, która by nam w tym pomogła. Przez dwa lata szukaliśmy takiej sposobności w Holandii. Wszędzie słyszeliśmy, że to świetny po-

mysł, ale nie mogą nam pomóc. Bóg miał jednak rozwiązanie. Poprowadził nas do koledżu misyjnego w Anglii i tam zetknęliśmy się z Interserve, gdzie powiedziano nam, że jest dla nas miejsce w Nepalu. Wypełniając formularze zgłoszeniowe byliśmy poruszeni. Sześć lat wcześniej, gdy poczuliśmy Boże powołanie, rozmawialiśmy o Nepalu – wymarzonej miejscy, gdzie chcielibyśmy podjąć służbę. Później, zmagając się z trudnościami, zapomnieliśmy o tym, ale Bóg pamiętał o naszych marzeniach i oto otwierał przed nami drzwi.

Zostaliśmy zaakceptowani na ten wyjazd i powróciliśmy do domu, do Holandii. Interserve ma bowiem zasadę, że na misję wysyła rodzimy Kościół. Rozmawialiśmy więc w naszym zborze, czy zechcą nas wysłać i wspierać finansowo. Mieliśmy też za zadanie znaleźć grupę wspar-

cia – ludzi, którzy będą nas wspierać duchowo, modlić się o nas i utrzymywać z nami kontakt. Przez rok modliliśmy się, rozmawialiśmy z kluczowymi osobami w zborze, by wizja naszego wyjazdu stała się znana i zrozumiała. I czyniliśmy przygotowania do wyjazdu.

W 1977 roku udaliśmy się do Nepalu. Mąż, ja i troje dzieci: chłopcy w wieku trzy i cztery lata, a córeczka – dziewięć miesięcy. Przez pięć miesięcy uczyliśmy się języka, następnie zostaliśmy skierowani do pracy. Początkowo przez pół dnia wciąż jeszcze uczyliśmy się języka, a przez pół już pracowaliśmy przy projekcie. Ten projekt związany był z budową elektrowni wodnej w górach, w miejscu oddalonym o dwa dni pieszo od miejsca, dokąd można było jakoś dojechać.

Mieszkaliśmy w pobliskiej wiosce, piekąc chleb, gotując na kuchni

► Jakie oczekiwania macie wobec Polski?

A.K.: Chcielibyśmy zobaczyć młodych Polaków zaangażowanych w misję, żeby mogli tam wyjechać i osobiście doświadczyć, jak to jest, powrócić i podzielić się swoimi przeżyciami. W czasach komunizmu nie było takich możliwości. Teraz zagrożeniem jest materializm. Chcielibyśmy, by w polskich Kościołach wzrastała świadomość potrzeby włączenia się w służbę misyjną. Interserve Europe ukierunkowane jest na pomoc w tej służbie. Misjonarzy powołuje Bóg, my tylko pomagamy realizować ten Boży plan w ich życiu.

Wyzwaniem jest dziś to, co widzę, będąc w Berlinie, gdzie misjonarze pracują wśród emigrantów i uchodźców z innych krajów. Również w Polsce, będąc w kilku zborach, widziałam jak starano się wyjść z Ewangelią do ludzi w potrzebie. Mój rodzimy duży zbor w Holandii skoncentrowany jest na programach ukierunkowanych na swoich członków i bliskim otoczeniu. Moim pragnieniem jest, by mój zbor i zbory w Europie otworzyły się na ludzi będących w potrzebie, aby przez to Bóg był uwielbiony.

Jako Interserve chcielibyśmy widzieć więcej ludzi z Polski i innych krajów Europy Wschodniej zaangażo-

wanych w służbę misyjną. Tu, w Europie, widzimy coraz więcej emigrantów i uchodźców z Azji i Północnej Afryki i to także jest pole misyjne. Co mamy z tym robić? Co Bóg mówi do nas w tej sprawie? Jak mamy dotrzeć do tych ludzi z Ewangelią?

V.J.: Tam, gdzie mieszkam, jest w pobliżu dom emigranta, gdzie przebywa około siedemdziesiąt osób. Oni żyją swoim życiem, a Holendrzy obok swoim. Dla mnie wyzwaniem jest, aby włączyć tych ludzi do lokalnej holenderskiej wspólnoty. Rozglądam się i szukam sposobu, by przedostać się do ich świata i włączyć się w życie tej społeczności.

Postanowić zająć się sprawami misyjnymi – to jest prawdziwe wyzwanie. Znaleźć czas na sprawy związane z misją na twojej ulicy czy gdzieś daleko. Przeznaczyć na to czas, pieniądze i oddać siebie do dyspozycji Bogu.

Dziękuję za rozmowę.

[Annie Kramer: Sekretarz Generalny Interserve na Europę Wschodnią z siedzibą w Berlinie

Vera Joann: Wraz z mężem Saattem aktualnie zaangażowana w służbę misyjną w Azji (imię i nazwisko zmienione)].

opalanej drewnem, bez bieżącej wody, bez kanalizacji, bez gazu, bez elektryczności, radia i telewizji, bez telefonów. Brakowało owoców i warzyw. Mój mąż nadzorował budowę elektrowni wodnej. Zatrudnionych tam było około 150 miejscowych Nepalczyków, ale tylko pięciu z nich miało jakieś doświadczenie przy tego rodzaju robotach. Tak więc dla niego to była ciężka praca, wymagająca wielkiego wysiłku. Wykonując swoją pracę zawodową, mamy robić to dla chwały Chrystusa: uczciwie, bez przekupstwa, dając dobry przykład, wysłuchując ludzi co do ich potrzeb. W naszym domu w biurze mieliśmy małą bibliotekę z chrześcijańskimi książkami, które wypożyczaliśmy ludziom. Ktoś, kto umiał czytać, siadał na ziemi i czytał, a inni siadali dokoła i słuchali tych biblijnych historii.

Moim głównym zadaniem było zajmowanie się trójką małych dzieci. Tak więc przez cały długi dzień walczyłam o przetrwanie, ucząc się języka i krzątając w gospodarstwie. Dwoje nastolatków, chłopiec i dziewczyna, pomagało mi w domu, przy noszeniu wody, pieczeniu chleba i innych pracach. Miejscowi żyli w wielopokoleniowych rodzinach i pomagali sobie nawzajem. Mąż chodził do pracy a ja pozostawałam



Lekcja szkółki niedzielnej

w domu z trójką dzieci. Potrzebowałam więc ich pomocy. Ale dzięki temu mogłam też z nimi czytać Biblię. Rozmawialiśmy także z napotykanymi ludźmi. W Nepalu ludzie są bardzo ciekawi i chętni do rozmowy.

Ale było także sporo trudności, bo w tej wiosce była wielka świątynia hinduska. Czasami odczuwaliśmy presję złych, przeciwnych Bogu duchowych mocy. Wyczuwało się wręcz zmaganie światłości z ciemnością. Modliliśmy się więc o rozświetlenie tego miejsca Bożym

światłem, aby mogły nastąpić tam zmiany. Dlatego tak ważne jest, aby to lokalny zbor wysyłał misjonarzy, otaczał ich modlitwą. Po jakimś czasie w naszym domu mieliśmy nabożeństwa. Niektórzy szli dwie, trzy godziny, aby na nich być. Dniem wolnym od pracy była tam sobota.

Po dziesięciu latach odwiedziliśmy tamten region. I chociaż chrześcijanie wciąż tam walczą o przetrwanie, jednak powstały tam trzy chrześcijańskie wspólnoty.

Myślę, że okres pobytu w nepalskiej wiosce był najlepszą częścią mojego życia, bo codzienność była tam tak realna, sprawiająca prawdziwą radość. Chleb nigdy nie smakował tak, jak ten własnoręcznie wyrobiony i upieczony w piecu opalonym drewnem. Wciąż ciężko pracujesz, stale jesteś zajęty i nie nudzisz się, mimo że nie ma telewizji. Nie odwiedzają cię przyjaciele, ale jak ktoś się już pojawi, to wiesz, że od najbliższej drogi musiał iść dwa dni pieszo. To było wydarzenie, rozmawialiśmy wtedy cały dzień i byliśmy zachwyceni. Pamiętam, jak nie mieliśmy jajek, mięsa. I powiedziałam: „Boże, potrzebujemy jajek, bo nie mam co ugotować”. I po godzinie przychodzi ktoś z jajkami. To jest niesamowite, gdy widzisz, jak Bóg odpowiada na modlitwy.



W drodze do wsi, w której mieszkaliśmy ponad dwa lata. Od najbliższej drogi, którą dało się jechać, trzeba było iść dwa dni pieszo. Korzystaliśmy z pomocy tragarzy

ANNIE KRAMER